

Skrzatołap

Patykiewicz Piotr

Patykiewicz Piotr



Piotr Patykiewicz o sobie: Mam trzydzieści trzy lata, trzy córki i syna. Studiowałem politologię, a potem uprawiałem wiele najrozmaitszych zawodów: byłem dziennikarzem prasy lokalnej (z sentymentem wspominam sprawozdania z wiejskich meczów piłki nożnej), ochroniarzem w supermarkecie, pomywaczem w pizzerii, robotnikiem fizycznym, parkingowym, kierownikiem klubu studenckiego, agentem ubezpieczeniowym, bukinistą - i robiłem jeszcze wiele innych rzeczy, które wyparłem ze świadomości, żeby mieć spokojny sen. W fantastyce debiutowałem opowiadaniem "Czorty" (Fenix 3'96). Przez ostatnie lata prowadziłem sklep zoologiczny. To właśnie za ladą tego przybytku, między jednym klientem a drugim, napisałem ZŁY BRZEG. Sklep był zdecydowanie nastawiony na egzotykę (pająki, gady, owady) i to wyjaśnia ponadprzeciętne stężenie potworów w mojej prozie. Potrafię nawet dokładnie opisać, jak wygląda przewód pokarmowy węża morskiego, i co należy zrobić, żeby ubić wapięza krwiopijcę.

Skrzatołap

Noc była ciepła. Okrągły i jasny księżyc wysunął się cicho zza wału najeżonego wyostrzonymi balami palisady i oświetlił drogę wpełzającą szerokimi zakolami po zboczu. Niżej, w mroku, spało podgrodzie. W nadrzecznych trzcinach szumiał wiatr, uparcie grały świerszcze. We dworze księcia było cicho, tylko od czasu do czasu na szczycie wałów chrzęściły kroki straży.

Wysoki i chudy strażnik przytupnął i roztarł pięściami powieki.

- Jeszcze nie ma północy, a mnie już ciągnie na siano. Tfu! Psia służba.

Niższy, z rękami zwieszającymi się po kolana, ziewnął głośno.

- Wszystko przez to, że pleśniejemy w grodzie od jesieni. Ruszyć by się trzeba. Jak nie ma kogo bić, to choćby przegonić się za turem po lesie.

- Nudzisz się, to tłucz komary! - Wyższy pacnął się otwartą dłonią w szyję. - Póki we dworze coś się nie zmieni, trzeba chlać chrzczone piwo i obszczywać wały. Nic nie poradzisz.

- Nic się nie zmieni - mruknął cicho długoręki. - Wszyscy to wiedzą. Kto tu nie przychodził do dworu z pomocą? Wiedźmy, zielarze, święci pustelnicy i kupcy z czarnymi gębami i wozami pełnymi zamorskich korzeni. I co? I nic. Wysoki splunął przez wał.

- Lepiej zachowaj dla siebie takie gadanie. Doniesie ktoś i starosta przeciągnie cię za koniem dookoła grodu.

- Eee, przecież każdy gada...

Urwał. Przechylił się przez palisadę. Księżyc odbijał w jego oczach zdumione błyski.

- Ktoś tam lezie po nocy.

Wstrzymali oddechy, wpatrując się w gołe zbocze wzgórza, biała krecha drogi jeszcze była pusta. Ale kroki słyszeli coraz wyraźniej. Dobiegały z ciemności ogarniającej pierwsze chaty podgrodzia. Długoręki zahaczył kciuk o pas na biodrze, blisko rękojeści miecza.

- Pieszy. Stary albo bardzo zmęczony, bo ciężko idzie. Chyba obcy, żaden kmiotek nie łązi nocą pod wałami.

W księżycową poświatę wsunęła się przygarbiona postać. Od razu było widać, że wędrowiec nie pochodzi stąd. Miejscowi tak się nie nosili - długi do kostek płaszcz, kaptur nasunięty na czoło i gruby kij. Szedł ostrożnie, obstukując drogę na pół kroku przed sobą, jakby nie dowierzał złudnym księżycowym blaskom. Szedł prosto do bramy.

- Jeśli to pątnik, źle trafił, bo w grodzie nie ma nic świętego - parsknął wysoki, pokazując górne zęby. - A jeśli żebrak, to trafił jeszcze gorzej.

Mogli już usłyszeć, jak nierówno poświstuje przez nos. Kij wzbijał obłoczki kurzu. Obcy zatrzymał się kilka kroków przed bramą, uchylił kaptura i przekrzywił głowę, jakby dziwił się, że wrota zamknięte. Długoręki splunął z nadzieją, że trafi w starego.

- Co tam, dobry człowieku? Nie możesz spać? Przybysz zadarł głowę.

- Czy to dwór księcia?

Wyższy podrapał się w tył głowy, ale drugi strażnik tylko się roześmiał.

- Dwór przecie nie karczma! Dreptaj dalej, dziadku, bo psy mogą poskubać ci łydki.

- Dwór księcia, który ma kłopoty? Strażnik przechylił się przez palisadę. .

- Słuchaj, głupku! - syknął gniewnie. - U nas o takich rzeczach nie mówi się głośno, a najlepiej nie mówić wcale. Ostrzegam. A teraz znikaj, pókim dobry.

Obcy ze zrozumieniem pokiwał głową. Naciągnął kaptur na oczy, stuknął kijem i zrobił krok do przodu.

- Otwieraj - powiedział całkiem spokojnie. Długoręki szeroko otworzył usta, tłusty komar wleciał do środka, pobuczał pod podniebieniem i wyleciał. Wysoki zakrzuszył się śmiechem.

- Trza by zleźć i go wyplazować! Albo spuścić ze dwa psiaki.

- Chcesz narobić hałasu? A kto wytłumaczy się księciu, jeśli się obudzi?

Długoręki ściągnął z pleców łuk. Rzucił okiem w dół, poślinił dwa palce i nałożył strzałę.

- Zgłupiałeś? To tylko pomylenieć! - zakręcił się niespokojnie wysoki.

- Co z tego?

- Zabijanie pomyleńców przynosi pecha.

- Lepsze to niż tłuczenie komarów. Nie bój się. Tylko go postraszę.

Cięciwa świsnęła, strzała zdarła kaptur z głowy starego.. i wbiła się w ziemię aż po pióro, kilka kroków za jego plecami. Stary wolno przełożył palec przez dziurę w kapturze.

- Druga pójdzie w gardło! - charknął długoręki. Poszarpana chmurka ześlizgnęła się z zielonożółtego kręgu księżycy i nagle zrobiło się jaśniej. Stary patrzył prosto na zamkniętą bramę. Czarne cienie kładły mu się pod łukami brwi.

- Wasz książę kazał ogłaszać po grodach, po wsiach i na rozstajach, że potrzebuje pomocy. Więc otwieraj bramę, synku, bo bolą mnie pięty.

Wysoki rozgniół kciukiem komara na policzku i zaklął cicho.

- To było pół roku temu - odezwał się niepewnie. - Potem byli tu różni i nic nie pomogli. Książę z początku płacił im srebrem, potem patrzył wilkiem, a ostatnich kazał oćwiczyć batami.

Spóźniłeś się, dziadku.

- Mylisz się. Jestem w samą porę.

Pierwszy raz podniósł ku nim twarz, już nieosłoniętą kapturem. Wysoki drgnął.

- Coś z nim jest nie tak... Ma opaskę na jednym oku.

- Widziałem już coś takiego. - Długoręki sztywnymi palcami nałożył następną strzałę. - Pewnie kat wykapał mu ślepie wrzącą smołą. Na taką kaźń skazują za złodziejstwo albo za uwiedzenie dziewczycy. Najlepiej...

Stęknął i naciągnął cięciwę. Musiał odczekać, by uspokoić oddech. Palce zaciśnięte na cięciwie zaczęły mu drętwieć. Obcy stał nieruchomo, z uniesioną twarzą, a jego jedyne oko chłonęło noc. Strażnik nie usłyszał skrzypnięcia drzwi. Dopiero ostry głos za plecami sprawił, że drgnęła mu ręka.

- Otwórz bramę, głupcze! - warknął starosta.

Strzała świsnęła koło ucha starego i wbiła się obok poprzedniej.

Zbroja starosty lśniła, płomienie pozatykanych w ściany pochodni odbijały się w niej pożarem. Krok dźwięczał, jakby starosta niósł na plecach worek gwoździ. Odemknął przyłbicę i przyglądził nastroszone wąsiska.

- Dziękuj Bogu, że książę jeszcze się nie położył. - Ćwieki na rękawicy błysnęły, kiedy pokazywał drogę. - Nie gadaj bez pytania i nie próbuj wykrętów, a może wyjdiesz cało.

Na końcu długiej sieni buchały światłem otwarte dwuskrzydłe drzwi. Przybysz ruszył śmiało.

Jednostajny gwar rozmów w izbie urwał się, kiedy kij zastukał na deskach podłogi. Pod ścianami, za długimi stołami, siedzieli biesiadnicy. Widział ich znudzone, czerwone twarze i kielichy w upięrcienionych dłoniach, zza zasłony gorącej pary, snującej się nad zwałami mięsiwa.

Na podwyższeniu zarzuconym niedźwiedzią skórą stał tron. Starosta warknięciem osadził włóczkę na środku izby.

- Ten tutaj chciał cię widzieć, panie.

Książę wyglądał na zmęczonego. Rozparty na rzeźbionym tronie, z przekrzywioną koroną i nogą niedbale zarzuconą na nogę, miał podpuchnięte oczy i powieki pokryte siateczką czerwonych żyłek. Oparł policzek na dłoń i przyjrzał się włóczędze niechętnie.

- Skąd oni się biorą? - mruknął do stojącego obok wielmoży z brzuchem przelewającym się przez szeroki pas. - Będzie piętnasty w tym miesiącu, wypadaloby go powiesić za sam wygląd.

Wielmoża wzruszył ramionami, a jego podwójny podbródek sfałdował się.

- Od początku ten pomysł mi się nie podobał, panie. Nie trzeba było rozgłaszać o twojej... -

zawiesił głos. - Po wszystkich dziurach tego kraju. Teraz różnym się wydaje, że się we dworze łatwo odpasą.

Książę palcem poprawił koronę.

- Nie lubię, jak mnie pouczasz! -1 głośniej w stronę włóczęgi:

- Spodziewam się, że masz dobry powód, żeby mnie nachodzić po nocy. Jak się nazywasz i skąd cię diabli przygnali?

Włóczęga poczuł na ramieniu ciężką dłoń starosty i przyklęknął. Ale w krzywym uśmiechu widocznym spod kaptura nie było cienia szacunku.

- Jeśli kiedyś miałem matkę, to nic mi nie wiadomo, by zaszczyliła mnie imieniem. A przyszedłem tutaj, bo mnie potrzebujesz. - Pozwolił sobie na krótki śmiech, podobny do kaszlu. - Wasza książęca mość.

Książę splótł dłonie i zakręcił kciukami młynka.

- Jesteś inny niż poprzednicy. Nie powinienes mieć kota? Albo chociaż paru samolówek ze sprężynkami?

Włóczęga ruchem barków strząsnął rękę starosty i wstał uśmiechnięty.

- Kot może się przydać tylko na początku, zanim małe sukinsyny się rozplenią. No i w niedużej chacie, a nie tu.

- Powiódł kijem wokół. - A samolówki? Nie, panie. Oni wcale nie są tak głupi, jak wyglądają.

- Nie wiem, jak wyglądają, bo żadnego nie widziałem. Za to zdążyłem poznać wystarczająco wielu oszustów. - Książę pstryknął palcami. - Na stryczek z nim.

Miecz starosty ukłuł włóczęgę między łopatkami. Brwi obcego zeszyły się nad nosem.

Niedostrzegalnym ruchem podniósł i opuścił przedramię. Ostrze zabrzączało w powietrzu jak trzmiel i nóż wbił się w drewniane oparcie tronu koło ucha księcia.

- Wydałem rozkaz... - Książę oblizwał sine wargi. - Żeby przeszukiwać takich jak on. Mógł mnie zabić, chybił o włos.

Starosta ciosem pięści w tył głowy powalił włóczęgę na kolana. Wziął zamach mieczem, ale książę podniósł drżącą dłoń.

- Zaczekaj! Targnął się na moje życie, więc nie może umrzeć tak po prostu. Każcie rozpalić pod kotłem.

Starosta uśmiechnął się szczerze, zakręcił na pięcie, ale zatrzymał go krzyk tłustego wielmoży. - Co to jest? Książę podążył za jego wzrokiem i zamarł.

- Co to jest? - powtórzył, wyrywając nóż i oglądając go pod światło.

Na ostrzu wisiał strzępek czerwonej tkaniny. Włóczęga podniósł się, pojękując i macając bolesny wzgórek nad karkiem.

- To jego czapeczka. Siedział sobie na twoim ramieniu, majdał nóżkami i głupio się uśmiechał. Czerwone kłaczki poruszały się, owiane przyspieszonym oddechem księcia.

- Stoisz zbyt daleko. Nie mogłeś go widzieć.

- Ty też nie mogłeś, chociaż dmuchał ci w nos. -1 gdzie jest teraz?

- Uciekł.

Książę rzucił okiem za oparcie, zamiótł stopą pod tronem, podniósł się i zajrzał pod siebie.

- A więc to prawda! Ty naprawdę jesteś... Jesteś...
- Skrzatolapem. To mój zawód. - Włóczęga obrócił się do starosty. - A ty, blaszany żuczku, odłóż miecz, bo kogoś skaleczysz.

Stara służąca czekała na niego w sieni. Miała zeza, wpatrywała się w brodawkę, przyczepioną do swego garbatego nosa.

- Witaj, śliczny! - Odwinęła w uśmiechu górną wargę, odsłaniając trzy poczerwiałe zęby. - Pokażę, gdzie będziesz spał. A jak będziesz miły, możesz liczyć na więcej.

Skrzatołap cofał się, póki nie poczuł plecami ściany.

- Powiedz gdzie, sam trafię.

- Ech, wy, wolne ptaki! - zachichotała skrzekliwie, zdejmując nitkę śliny wiszącą z ust. - Znam ja was. Tylko jedno wam w głowie.

W zacienionej wnęce skrzyknęły zawiasy i mignął rąbek spódnicy.

- Oduść go sobie, Gładziuchna! - zabrzmiał dziewczęcy śmiech. - Sama go zaprowadzę.

Skrzatołap jednym skokiem wślizgnął się w szparę uchylonych drzwi. Przystanął w mroku, żeby ochłonąć.

- Idź ostrożnie. Po drodze do izby gościnnej nie ma światła, bo odkąd pamiętam, nie mieliśmy gości.

Czysty i rzeński głos przyjemnie łechtął go w uszy. Nozdrza mu zadrżały jak u zgonionego konia, który z daleka czuje strumień. Musiała być bardzo młoda. Mimo ciemności szedł za nią wyprostowany i żwawy, nie ostukując drogi kijem. Nasłuchiwał szelestu jej sukni, a zapach jej odsłoniętego karku mącił mu w głowie jak wino.

- E, tego... - Ciągle go wyprzedzała. - Mogłabyś mnie wziąć pod rękę, dziecko, bo nie nadążam.

- Przewędrowałeś bez pomocy cały kraj, to doczłapiesz do wyrka. Uważaj, próg.

Byłby upadł, gdyby nie wsparł się na kiju. Nie zdarzyło mu się to od bardzo dawna.

- Książę oddał mi cię do posługi, więc powinnaś mnie słuchać.

Nie odpowiedziała. Zabrzęczały klucze, a potem jęknęła dawno nieużywana zasuwka. Nie zdążyła się odwrócić, kiedy doskoczył w ciemnym przedsionku.

- Łapy przy sobie, ślepa wrono! - Trzepnęła go po palcach. - Nie dla psa kiełbasa!

Skrzatołap zarechotał, ale posłusznie wsunął dłonie za pas. Jęknęły zawiasy i w duszny mrok przesączyło się światło.

- Tu będziesz spał. Pod oknem masz gąsiorek z winem. Jeśli jesteś głodny, zejdz do kuchni, coś się dla ciebie znajdzie.

Był tu tylko rozchwiany stół i wilgotny siennik. Skrzatołap stuknął kijem w niską powałę i próchno osypało mu się na czoło. Wciągnął w płuca zastarzałą stęchliznę, do łydek kleiły mu się siatki pajęczyn.

- Niedawno wypadł mi nocleg w szałasie pastuchów. Kozy zaglądały mi przez ramię i moczyły brody w mojej kaszy, ale i tak było tam przytulniej. - Oparł się, o zamknięte drzwi.

- Jak ci na imię, ślicznotko?

Pogładził jej policzek wierzchem dłoni. Miała okrągłą twarz i zadarty nos. Spod czepka uciekały na skronie kosmyki włosów. Splotła ramiona na piersiach i uchyliła się.

- Dla ciebie nie jestem żadną ślicznotką, starcze.

- Starcze? Nie jestem stary! - Zsunął kaptur i czekał, czy ją przestraszy opaska na oku. -

Najwyżej w sile wieku.

Wielki, czarno-szary pajak wyłonił się zza siennika i ruszył w poprzek izby. Skrzatołap zamierzył się kijem, ale dziewczyna podniosła palec.

- W tym dworze za zabicie pajaka karze się chłosta.

- Co ty powiesz?
 - Nigdy nie wiadomo, czy któryś z nich nie jest dzieckiem Ośmionogiej. To tutejszy przesąd. Skrzatołap odstawił kij, wyjął zatyczkę z gąsiora i uważnie ją obwąchał.
 - No proszę, wiśniowe! I chyba nawet niechrzczone. Schylił się po dwa wyszczerbione kubki. Kiedy się odwrócił, dziewczyna kończyła rozgniatać pająka piętą.
 - Przecież mówiłaś...
 - Nie jestem przesądna. - Oskrobała podeszwę o próg. - Nienawidzę tego paskudztwa. Tak się mnożą, że co wieczór znajduję jednego pod poduszką."
 - Brrr! Obrzydliwe. Na szczęście nie musisz wracać do siebie... Uch!
- Stracił oddech, kiedy kopnęła go kolanem w krocze. Chwilę trwało, nim znowu wyprostował plecy.
- Mówiłam, żebyś zszedł mi z drogi. - Zawiasy pisnęły głośno, jakby drzwi przytrzasnęły mysz. - A na imię mam Sławka, jeśli naprawdę cię to ciekawi.

Leżał na sienniku, ale oczy miał otwarte. Nasłuchiwał. Szmer pod drzwiami był tak krótki i cichy, że mógł go spowodować sznur. Kiedy szmer się powtórzył, skrzatołap wstał. W szparze nad progiem jarzyło się słabe światło. Położył dłoń na skoblu i szarpnął drzwi. Za progiem stał książę. Miał przygarbione plecy, a uszy czerwone. Podmuchał płomykiem jego świecy.

- Eee... - odchrząknął. - To znaczy...
 - Podsluchujesz, panie? - Skrzatołap odsunął się, żeby zrobić przejście.
- Książę nie podnosił oczu. Zawahał się, zanim przestąpił próg.
- Byłem ciekaw, czy śpisz. Podobno skrzatołapy nigdy nie śpią.
 - Bajki. Krótko i lekko, ale śpią. Wciąż mi nie ufasz?
 - Skradałem się najciszej, jak się dało, a ty i tak dosłyszałaś. Zaczynam wiązać z tobą nadzieje.
 - To zwykła rzecz. Lata ćwiczeń. Spadający włos robi więcej hałasu niż stąpanie skrzata.
- Przy świetle świecy zmarszczki na twarzy księcia wydawały się głębokie jak u starca. Spojrzał w oczy skrzatołapa.
- Wiesz, że jesteś pierwszym człowiekiem, który naprawdę mi uwierzył? Inni tylko udawali.
- Skrzatołap uśmiechnął się. Zamknął drzwi, nalał wina z gąsiora i podał kubek księciu.
- Nieszczęście władców polega na tym, że ludzie rzadko mówią im to, co myślą.
 - Czasem nawet starosta patrzy na mnie jak na rozmemlaną babę. - Książę wypił łyk i westchnął.
 - Podejrzewa, że sobie to wymyśliłem.
- Skrzatołap w milczeniu napełnił drugi kubek. Nie chciał poganiać księcia. Dowie się tyle, ile tamten będzie gotów powiedzieć.
- Zaczęło się zwyczajnie. W nocy zaplatały koniom grzywy, chowały w dziwne miejsca moje drobiazgi. Rozsypywały w kuchni mąkę. Nawet podejrzewałem, że to dzieci służby tak się zabawiają.
- Bez korony, z kółkiem łysinki na samym czubku głowy, wyglądał jak obwoźny sprzedawca garnków. Poszarzała twarz zdradzała, że źle sypiał.
- Zawsze zaczyna się niewinnie. - Skrzatołap pokiwał głową. - Kiedy jest źle, ludzie przypominają sobie o mnie.
 - Umie wiele znieść, nie załamuje mnie byle co. Ale moje życie stało się naprawdę trudne - rzekł książę z mieszaniną nadziei i zwątpienia. - Dasz wiarę, że przychodzą do mojej sypialni, kiedy... nie jestem sam i... no wiesz. - Podrapał się za uchem. - Gapią się i chichoczą cichutko. A wtedy przechodzi mi ochota, jakbym leżał z chochołem, nie z dziewczyną.
 - A rodzina, panie? Nie masz nikogo?

- Jestem wdowcem. - Książę skrzywił się, jakby wino nabrało cierpkości. - Mam córkę, ale mało z nią rozmawiam. Jest w głupim wieku, kiedy się nie wie, czego się chce. Na pewno ją poznasz, moja Sławka lubi wtykać nos w nie swoje sprawy.

Skrzatołap siorbnął.

- Nazywa się Sławka?

- Wiem, że to kmiece imię, ale nieboszczce księżnej się podobało. No, wystarczy! - Strzepnął resztkę wina. - Od dawna z nikim nie pogadałem po ludzku. Spraw się dobrze, a nie będziesz musiał się martwić o następne zlecenia.

Skrzatołap wyjrzał za nim. Ciężko powłócząc nogami, książę ciągnął za sobą wyolbrzymiony cień.

Sapanie starosty za drzwiami rozległo się już o świcie. Skrzatołap, nie śpiesząc się, dojadł resztki posiłku i ochlapał twarz zimną wodą. Kiedy wyszedł, starosta warknął pogardliwie.

- Masz czas do południa. Jeśli nie zrobisz, co trzeba, pożałujesz, że nie zostałeś pastuchem.

- Książę tak powiedział?

- Ja tak mówię.

- To idź straszyc wróble, mnie nie nastraszyłeś.

Ruszył schodami do sieni, nie oglądając się. Kroki starosty zadudniły z opóźnieniem. Dopadł skrzatołapa na dole i szarpnął za rękaw.

- A może ich w ogóle nie ma? - Gniew szpecił pociemniałą, wykrzywioną twarz. - Może ktoś knuje zdradę, a psoty mają przytępić czujność księcia?

Skrzatołap przykucnął, wygarnął ze szpary zwitek kurzu. Położył go na otwartej dłoni.

- Nie ma? - Dmuchnął na rękę, wzbijając popielaty obłok. - A co to jest twoim zdaniem?

Starosta pochylił się, marszcząc czoło. Na dłoni skrzatołapa leżało kilka maleńkich, czarnych kuleczek. Splunął z obrzydzeniem.

- Może mysie gówienka.

- Pewnie, że gówienka. Tylko nie mysie.

Książę pił od samego rana. Siedział krzywo na tronie i machał przewieszoną przez podłokietnik nogą. Kiedy widział w otwartych drzwiach przebiegającego przez sień skrzatołapa, odzywała się jego pijacka czkawka.

- Przynajmniej się stara. Biega jak... jak kot z pęcherzem. Wielmoże wymienili ukradkowe spojrzenia. Na twarzy księcia widać było kilka nowych zadrapań, siwiejące włosy pozlepiły się w kłaki. Niezmieniane szaty były wystrzępione i pełne plam.

Gruby wielmoża rozmazał na stole kałużę wina i mruknął do przysypiającego sąsiada:

- Biega, nie biega, wszystko jedno. To już długo nie potrwa.

- Co?

- Wszystko. - Podbródkiem wskazał księcia. - Wykańcza się.

W sieni- znowu rozległ się spieszny tupot.

Na polecenie księcia wpuszczano skrzatołapa wszędzie, od wilgotnych piwniczek po opleciony pajęczynami strych. Posuwał się żabimi skokami z jednego zakurzonego kąta w drugi, a spocony starosta, dysząc, człapał za nim. Służba podśmiewała się z cicha, ale robiła wszystko, co skrzatołap kazał. Przesuwali ławy i stoły, zaglądali pod ciężkie łoża, zrywali ze ścian wyliniałe skóry. Skrzatołap wydłubywał końcem noża brud ze szpar między belkami, podważał progi i ostukiwał powałę. Kilka razy coś znalazł, ale ledwo starosta zdołał się do niego dowlec, pędził dalej.

Kiedy wreszcie wyskoczył ze dworu na zalany słonecznym blaskiem dziedziniec, dzień już był gorący. Starosta wytoczył się za nim,

- Robisz to umyślnie! - Z westchnieniem wciągał powietrze, aż coś zaświszczało mu w piersi. - Chcesz się mnie pozbyć, szubrawcu.

Na środku dziedzińca leżała wielka, kamienna płyta. Wyglądała jak grobowiec, choć nie było na niej żadnych napisów.

- Przecież sam krzyczałeś o pośpiech. -1 co? Już skończyłeś?

- Na dobre nie zacząłem. Ale znalazłem więcej, niż się spodziewałem. Wszędzie pełno skrzacich odchodów. W każdej izbie wydrapały pod podłogą przejścia. Są ślady małych stopek za beczkami z piwem. Wystarczy?

Starosta popuścił pas o jedną dziurkę i spojrzął koso.

- Chodź ze mną do wychodka.

- Ja nie muszę.

- Ale ja muszę! A księżę zabronił mi spuszczać cię z oka. Z wału stoczyła się grudka ziemi, uderzyła o kamienną płytę i rozsypała się w proch. Obaj podnieśli wzrok. To Sławka patrzyła na nich ze szczytu wału.

- Idź, smoku, bo tak cię wezdmie, że do wieczora zabraknie ci dziurek w pasie. Ja zostanę z naszym gościem.

Uniosła spódnicę do kolan i lekko zbiegła na dół, pociągając za sobą lawinę kamyczków.

Musiała chwycić skrzatolapa, żeby się zatrzymać.

- Witaj, nieprzyjacielu cnoty! Czy węszyłeś już wszędzie?

- Prawie. Zostało jeszcze jedno miejsce - uśmiechnął się. - Poza wychodkiem, rzecz jasna.

Księżniczka wciąż trzymała go pod rękę, chociaż odzyskała równowagę.

- Naprawdę? Gdzie? - spytała, uśmiechając się.

- Tu. - Uderzył piętą w płytę. Rozległ się głuchy pogłos jak z pustego kotła.

Zacisnęła palce na jego łokciu. Uśmiech zmienił się w nieprzyjemny grymas. Z drugiej strony dworu podniósł się zamęt, nad wszystkim górowały wrzaski starosty.

- Nie bądź zbyt sprytny - poruszała wargami powoli, jak na mrozie. - Pewność siebie zaślepia.

Skrzatołap patrzył za nią długo, aż nagle owionął go gęstniejący smród. Odwrócił się, stał za nim starosta. Na jego szyi pęczniały dwie gule.

- Wierzę ci - wykrztusił.

- Co się stało? - Od obrzydliwej woni, bijącej od starosty, wprost ćmiło w oczach.

Starosta zgrzytnął zębami.

- Ledwo rozpiąłem spodnie, a te gnidy w czapeczkach obrzuciły mnie z dziury nieczystościami! Teraz pójde się umyć. A kiedy wrócę, pomogę ci je wyfluc. Co do nogi!

W niedbale skleconych ścianach wychodka ziały szpary grube na dwa palce, a przez dziury w pochyłym daszku zaglądały wróble. Drzwiczki koślawo trzymały się na jednym zawiasie. Kiedy skrzatołap wszedł, kilka karaluchów na desce ospale poruszyło długimi wąsami. Zamknął drzwiczki na zardzewiały haczyk, spłoszył karaluchy i zajrzał do dziury. Snopki światła, które wpadały przez dach, grzęzły w mrocznej głębi. Usiadł na desce, nie opuszczając spodni.

- Trzeba się śpieszyć - odezwał się półgłosem. - Do jutra wszystko musi być gotowe.

Poprawił opaskę, jakby go uwierała, i przez chwilę słuchał ćwierkania wróbli. Poruszył się niecierpliwie.

- To niech się postarają! Nie obchodzi mnie, że ciężko idzie. Ty za to odpowiadasz. A jak coś spaprasz, na kilka dni zapomnij o jedzeniu. Przeglądę cię, to przestaniesz gadać bzdury! Mam na karku starostę i nie mogę czekać.

Nie zauważył, jak płaski karaluch z małą główką wdrapał się na wierzch stopy i zniknął w nogawce.

- Co? - krzyknął. - Czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję?

Dwa nastroszone wróbelki skoczyły na siebie z zapamiętaniem, pod daszkiem zadudniło.

Skrzatołap odruchowo wytrzepał ze spodni karalucha, który upadł na grzbiet, zgiął się w kabłąk i zaczął przebierać nóżkami.

- Trzeba będzie uważać - burknął. - Tylko, do diabła, każ im się pośpieszyć! Spróbuję przeciągnąć sprawę do jutrzejszego ranka.

Ktoś szarpnął za drzwiczki wychodka. Haczyk wygiął się, ale wytrzymał.

- Zajęte! - zawołał skrzatołap.

- Masz tasiemca? - Starosta kopnął w ścianę i wychodek skrzywił się jeszcze bardziej. - Wyłaź!

Kiedy otworzył, starosta podejrzliwie zmarszczył nos i zajrzał mu przez ramię.

- Rozmawiałeś z kimś?

Skrzatołap wyszedł, rozdeptując karalucha. Wróble przypatrywały się im z daleka, przekrzywiając łebki.

- Rozmyślałem na głos. Zawsze tak mam, kiedy piję na czczo młode wino.

Po łagodnych stokach grodowego wzgórza spływało w stronę rzeki podgrodzie, nastroszone słomianymi strzechami chat i szczerzące się żerdkami płotów. W wąskich przejściach tłoczyli się ludzie, psy, świny i kury, a ich zmieszane wyziewy leciały w niebo razem z dymami palenisk. Dalej, aż po ciemny wał lasu, kołysały się na wietrze czekające żniw łany. Na piaszczystym brzegu rzeki suszyły się sieci.

Skrzatołap skupił wzrok na gromadce młodych wieśniaczek, które płukały pranie w płytkim zakolu rzeki.

- Wcale nie widać, żeby na tych ludzi spadła jakaś plaga.

- Kiedyś zeżrą ich własne wszy! - To jest jedyna plaga, jaka im grozi - parsknął starosta.

- Jak to? Skrzaty zwykle rozlażą się kilka wiorst dookoła. Jeśli nikt nie próbuje ich powstrzymać, szybko sprowadzają klęskę. Na tych polach co drugi kłos powinien być pusty, a pod nioskami puste wydmuszki.

- Uwzięły się na księcia i rzadko zaczepiają kogoś innego, chociaż i to się zdarza. - Starosta zdawał się obwąchiwać sam siebie. - Nie słyszałem, żeby rozpełzły się na podgrodzie. Martwi cię to?

- Wolałbym mieć do czynienia ze skrzatami, które zachowują się jak skrzaty, nie jak ludzie.

Starosta spojrział krzywo, nagle zatrzeszczała za nimi drabina. Ponad krawędź wału wysunął się garbaty nos Gładziuchny i jej trójzębny uśmiech. Właziła powolutku, trzymając się drabiny jedną ręką, w drugiej ścisnęła parującą michę, a pod pachą gliniany dzban.

- Kasza ze słoninką i kwaśne mleko!

Nie zgadli, do którego mówi, bo była wpatrzona w koniec swojego nosa. Kiedy podsunęła michę skrzatołapowi, starosta ze złością szarpnął wąsy.

- Kto cię przysłał?

- Nikt! - Wyprostowała się z godnością. - Ktoś w tym dworze musi pamiętać, co to jest gościnność.

Zapach podsmażonej słoniny sprawił, że staroście gwałtownie podskoczyła grdyka. Połknął przekleństwo i odszedł, wrzeszcząc po drodze na straże. Skrzatołap z żalem odwrócił się plecami do zakola rzeki, gdzie wieśniaczki wchodziły w wodę, podkasując kiecki do bioder. Ale kiedy kłęby gorącej pary owiały mu twarz, rozpogodził się.

- Dziękuję!

- Na zdrowie, słodka jagódko! - Gładziuchna podniosła zimny dzban. - Wolisz kaszę pryskaną czy nie?

- No, nie wiem... Może spróbuję pryskaną? Pociągnęła z dzbana długi łyk. Kiedy pochyliła się nad michą, z białymi grudkami na wargach i wydętymi policzkami, skrzatopał zamknął oczy. Z rozpaczą słuchał, jak Gładziuchna rozbryzguje mleko, z odgłosem podobnym do prucia starych gaci.

- Yhm... Podzielę się ze starostą. On też biega od świtu bez żadnego posiłku.

- Nie martw się o niego. - Czule pogładziła go po wklęsłym brzuchu. - Jedz.

Jakiś czas grzebał łychę, zanim udało mu się nabrać trochę kaszy z dna. Przełknął szybko, bez zucia, próbując zająć myśli czymś innym. Zamarł z łychę w połowie drogi do ust, kiedy znowu usłyszał jej głos.

- Nie schodź do skarbcza.

W oczach, w których przed chwilą lśniła tkliwość, iskrzyło się rozgorączkowanie.

- Widziałam, jak kręciłeś się koło kamiennej płyty - mówiła szybko, bezładnym szeptem. - Nie schodź tam, nie zaglądał i nawet się nie zbliżaj!

- Czemu?

- Ośmionoga.

Urwała, kiedy wrócił starosta, cisza i tak wzbudziła jego czujność. Przyparł starą wielkim brzuchem do palisady i spojrzał groźnie.

- Masz za mało roboty w kuchni?

Skulona przemknęła pod jego łokciem, wskakując na pierwszy szczebel drabiny. Zanim zniknęła, złowiła wzrok skrzatopa.

- A co do kuchni, to właśnie tam powinniście szukać skrzatów, a nie w skar... gdzie indziej. Koło garów kręci się tego tyle, że czasem się o nich potykam. Kradną więcej żarcia przez jeden tydzień niż cała służba przez rok.

- Uch, co za pyskate babsko! - Starosta pogroził jej pięścią. - Dawno bym ją pogał precz, gdyby tak dobrze nie gotowała.

- Masz! - Skrzatopał skwapliwie podsunął mu michę. - Nie jestem głodny.

Słuchał łapczywego mlaskania starosty, błędząc wzrokiem po znudzonych twarzach strażników. Kiwali się sennie z policzkami przytulonymi do włóczni. Nagle przypatrzył się jednemu z nich.

- Jak się nazywa ten mały, z rękami po kolana?

- Plewek.

- Będę go potrzebował.

- Po co ci woj? Poślę po pachółka.

- Chcę jego. A jak nie dasz, poproszę księcia. Starosta odłożył łychę i gwizdnał, przywołując Plewka palcem. Strażnik podbiegł posłusznie, ale kiedy rozpoznał skrzatopa, zwolnił kroku.

- Na rozkaz! - Przełożył włócznię z ręki do ręki.

Starosta wzruszył ramionami, skrobiąc o dno michy. Skrzatopał zbliżył się do Plewka i położył dłoń na jego ramieniu.

- Poznaliśmy się wczoraj wieczorem, synku?

- E... ciemno było... a może... - Plewek zakaszał. - Nie wiem.

- Jesteś dzielny, podobasz mi się. Chcę ci powierzyć ważne zadanie. - Uśmiechnął się. - Jest dziura, głęboka i ciemna, do której trzeba zajrzeć i poszperać po zakamarkach. Tam mogą być skrzaty.

Plewek zbladł, zwiotczał i osunął się na kolana. Wzrokiem zebrał o ratunek u starosty.

- Na jesień miałem się żenić... Tylko co po zrękowinach...

- Miał wielkie oczy i spękane wargi. - Zlituj się, człowieku! Skrzatołap pogłaskał go po ciemieniu, zebrał jasne włosy w garść i uniósł mu twarz. Długo patrzył w szare źrenice. Było cicho, tylko między zębami starosty trzaskały ziarenka kaszy.
- To trudniejsze niż strzelanie do bezbronnego, prawda?
- Poklepał go po policzku. - Przestań się trząść, wiem, kto się do czego nadaje. Miałem na myśli inną dziurę. Nie ma tam potworów, ale za to utaplasz się w gównie.

Skrzatołap czerpał wodę ze stojącej w rogu kuchni beczki i wygaszał wszystkie paleniska. Żar syczał wściekle, kłęby pary przesłoniły powałę. Przedwieczorne światło z trudem przesiewało się przez wąskie okienka, szybko ustępując ciemności.

- Zaczekaj! - sapnął starosta. - Przecież nic nie będziemy widzieć.
- Nie zobaczyłbyś skrzata, nawet kiedy nasikałby ci do ucha. Ty znasz się na waleniu ludzi po głowie, a ja na łapaniu skrzatów. Nie wtrącaj się.

Starosta zacisnął wargi.

- Nie igraj ze mną. Książę kazał cię pilnować i dał mi wolną rękę. Jeśli uznam, że coś knujesz, wydłubię ci drugie oko.

Skrzatołap znów chlusnął wodą i mrok zgęstniał, jakby ktoś zatrzasnął im nad głowami wieko wielkiej skrzyni. Okienka czerwieniły się blaskiem zachodu. Starosta dopiero zaczynał rozróżniać zarysy stołu i kotłów, kiedy usłyszał szelest za plecami. Odruchowo okręcił się na pięcie, wyszarpując miecz.

- Spokojnie. Miałem wiele sposobności, żeby cię zabić. Podejdz tu.

Sypnęły się iskry, zaraz potem zatlił się knot małego ogarka. Skrzatołap ostrożnie postawił go na brzegu beczki. Jego podświetlona twarz wyglądała jak pysk niewyspanego diabła.

- Dosyć żartów! - warknął Starosta. - Gadaj, co chcesz zrobić!

Skrzatołap wydobył kłębek cienkiego sznurka i odmierzył go łokciem. Jego oko błysnęło z cienia, kiedy wyciągnął przed siebie ręce i naprężył kawałek.

- Jeśli musisz się bawić czymś ostrym, to tnij. Usłyszał krótki świst i poczuł na obu kciukach lekki podmuch. Jego dłonie odskoczyły od siebie.

- No co? Ulżyło ci? - Zwinął resztę sznurka, schował kłębek i wlażł na beczkę. - Wiem, jak to jest. Jeden musi się napić, drugi idzie na dziewuchy, a tacy jak ty nie zasną spokojnie, póki kogoś nie...

- Cicho!

Starosta wsunął miecz do pochwy i zasapał. Skrzatołap przewlókł sznurek przez belkę powały i zeskoczył. Koniec sznura kolebał się w półmroku tuż nad powierzchnią wody, pośrodku beczki.

- Przez chwilę miałem nadzieję, że chcesz się powiesić... Co to ma być?
- My, skrzatołapy, w zasadzie nie zdradzamy nikomu naszych tajemnic.
- Wy, skrzatołapy, w zasadzie jesteście zgrają kłamliwych naciągaczy. Gadaj!
- Ktoś bystry łatwo mógłby nauczyć się paru sposobów i potem psuć nam ceny. No, ale przecież ciebie to nie dotyczy. - Nie pozwolił staroście tego przemyśleć i dokończył szybko:
- Najpierw trzeba dowiedzieć się, gdzie jest skrzaci król.
- Mają króla?
- Pewnie. Ale trudno go spotkać. Siedzi ukryty w mysiej norze i nie wystawia nosa.
- To jak go znajdziemy?
- Wcale nie będziemy szukać. Złapiemy zwykłego skrzata i zapytamy go o drogę.
- Powie?

Skrzatołap wsunął dłoń za cholewkę i wyciągnął igłę. Oparł ją o ogarek i patrzył, jak jej koniuszek rozżarza się do czerwoności.

- Jeśli będziemy nalegać, to powie. Starosta splunął w ciemność przez lewe ramię.
- Jezu, człowieku! Chcesz go tym dźgać? Jak byłeś mały, to nadmuchiwałeś żaby przez słomkę?
- Nie zmuszam cię, żebyś patrzył. - Skrzatołap wzruszył ramionami. - Jeśli masz mieć złe sny, to...
- Zostanę - uciął starosta i wskazał sznurek. - Jak to działa?
- Bardzo prosto. Skrzata nie da się złapać, dopóki może swobodnie biegać. Są tak szybkie, że zwykle można je zobaczyć tylko kątem oka, jak rozmazaną smugę. Ale mają też słabą stronę. - Umoczył palce w wodzie i zachlupotał. - Nie umieją pływać.
- Chcesz go złapać na wodzie?
Skrzatołap pogrzebał w odpadkach na stole. Znalazł nadpleśniały orzech i podrzucił go.
- To najlepszy sposób. Będzie bezradny jak wesz na tysej pale. - Rozgryzł orzech i mlaskając jak pies, który złapał muchę, wyjadł środek.
- Nie utopi się?
- Nie. - Położył łupinkę na beczce wklęsłą stroną do góry i otrzepał ręce. - Nie pozwolimy mu na to.

Starosta zrobił parę kroków, z dłońmi splecionymi na plecach.

- Ładnie pomyślane. Tylko po jakie lichy skrzat miałby pływać nocą w beczce na łupince orzecha?

- Tylko tak zdobędzie to, co powieszę na końcu sznurka.

Starosta sądził, że skrzatołap przywiązał kawałek czerwonej szmatki, ale kiedy obejrzał to lepiej, zdumiony pokręcił głową.

- Czapeczka? Chcesz go skusić na czapeczkę?

- Dla skrzata czapeczka jest czymś więcej niż tylko nakryciem głowy. Skrzat bez czapeczki traci godność. To tak, jakbyś ty pokazał się bez gaci.

- Ale przecież oni mają już swoje czape... - Zawiesił głos i pozostał z otwartymi ustami.

- A widzisz! Jeden nie ma. I właśnie na tego jednego zapołujemy.

Skrzat pojawił się na brzegu beczki tak nagle, jakby nie musiał wdrapywać się do góry, tylko spadł spośród cieni między belkami pod powałą. Starosta wstrzymał oddech i drgnął.

- Spokojnie - szepnął skrzatołap. - Nie możemy go spłoszyć.

Skrzat z ramionami rozrzuconymi na boki chwiejnie łapał równowagę, wpatrując się w czapeczkę. Miał krótkie, krzywe nóżki i dużą głowę. Gęsta broda, żółtobiała jak kłaczek wełny, sięgała mu aż po pas opięty na wzdętym brzuszku. Bezwłosa czaszka świeciła żółtawo.

- No dalej, łysa weszko! - stęknął starosta. - Żegluj! Skrzat zepchnął łupinkę do wody, usłyszeli cichy plusk.

Przygiął kolana, oparł dłonie na udach i chwilę patrzył w dół, zbierając odwagę. Potem podniósł ręce nad głowę i skoczył.

Starosta wypadł zza kotła, skrzatołap złapał go za pas.

- Stój! Niech najpierw kawałek odpłynie!

Starosta nie słuchał. Wymierzył za siebie cios łokciem i rzucił się naprzód, charcząc z wściekłością. Zanurzył w beczce ręce i zamłócił, ochlapując ściany.

- Zabijesz go, durniu! - Skrzatołap wciskał się między niego a beczkę. - Zabieraj łapy!

- Mam! - Starosta odskoczył, unosząc rękę. - Złapałem go!

- Ostrożnie, daj mi go.

- O nie! Sam go zaniosę księciu. Niech wie, że nie trzeba żadnego włóczęgi, żeby... Au!

Zawył z bólu i strzepnął dłonią. Potrącił beczkę, ogarek wpadł do wody i przytłoczyła ich ciemność.

- Ugryzł mnie! -jęknął. - Nie mogłem go utrzymać! Czy one nie roznoszą jakiegoś choróbska? Starosta odpruł zębami połę koszuli, okręcił lepki od krwi palec i zaniepokojony wsłuchał się w milczącą czerń. Ale kiedy skrzatołap się odezwał, jego głos był całkiem spokojny.

- Rozpal ogień.

Starosta nałamał chrustu, roztrzęsionymi dłońmi skrzesał iskry i rozdmuchał na palenisku płomyczek. Kiedy spojrzał na skrzatołapa, aż przysiadł na piętach.

W wyciągniętej ręce tamtego, głową na dół, wisiał skrzat.

- Zawsze za nóżkę, przyjacielu. Nigdy inaczej.

Książę obudził się od razu. Wystarczyło, że skrzatołap dotknął jego ramienia. Usiadł na łożu z otwartymi oczami i sięgnął po miecz, ale skrzatołap uniósł puste dłonie.

- Nie mam broni.

Od okna mżyła sina, księżycowa mgiełka. Książę opuścił stopy na podłogę, rozcierając powieki, po czym chwycił kielich i siorbnął.

- Jak tu wszedłeś? Pierdzioch pod drzwiami zasnął?

- Nie. - Skrzatołap skinął w stronę okna. - Wolałem przyjść tak, żeby nikt nie wiedział.

Książę parsknął, zakrztusił się i strzyknął ciemną strugą. Otarł wargi rękawem i wyrzucił kielich przez okno.

- Znowu mi, parchy, dosypały soli do wina! Nie pamiętam, kiedy jadłem albo piłem coś, co ma zwyczajny smak. - Schował twarz w dłoniach, ale kiedy znowu podniósł głowę, wzrok miał prawie obojętny. - Znalazłeś coś?

- Inaczej nie zakłócałbym twojego snu, panie.

- Mów.

- Sam to musisz zobaczyć.

Książę skrzywił się, ale wsunął nogi w wysokie cholewy. Skrzywił się z bólu, wytrzepał z każdego buta po kilka kolczastych główek ostu.

- Chodźmy. - Owinął się płaszczem, przypasał miecz i ruszył do drzwi, ale skrzatołap zastąpił mu drogę.

- Lepiej będzie, jak wyjdziemy po mojemu.

Zwarli się wzrokiem, ale to książę pierwszy odwrócił oczy. Otworzył szerzej okiennice, usiadł na oknie i przerzucił nogi na zewnątrz. Zniknął bez szelestu. Skrzatołap zsunął się za nim, wciskając czubki butów w szpary między balami.

- Co dalej? To zaczyna być zabawne. Pamiętani, jak za młodu poznałem ładniutką kuchareczkę i...

- Tędy. - Skrzatołap błysnął jednym okiem i wsiąknął w ciemność.

Szli w cieniu wału, unikając poświaty księżyca. Wysoko nad nimi chrzęściły kroki straży. Od czasu do czasu w stajni parskał koń, a cichnący pogłos długo tłukł się po pustym dziedzińcu.

Książę z ulgą wdychał chłodny, rześki powiew przedświt. Nagle odbił się od pleców skrzatołapa. Znowu opadło go codzienne, beznadziejne zniechęcenie.

- Co znowu? - warknął.

- To tutaj. - Skrzatołap przykucnął.

Ciemność u podnóża wału była tak gęsta, że książę nie widział własnych stóp. Chciał zakląć, zamiast tego gwizdnął cicho i mocniej przygiął kolana.

- Ten zapach. - Pociągnął nosem. - Znam go. Skrzatołap przesunął dłonią po ziemi, a potem podetknął ją pod nos księcia. Mocna, słodka, prawie lepka woń sprawiła, że władcy zakręciło się w głowie.

- Znam go. Nigdy nie był aż tak wyraźny, ale to na pewno on.

Skrzatołap wytarł palec w nogawkę.

- Gdzie to wyczuwasz najczęściej, panie?

- Wszędzie. Przy stole, w łóżku i w sraczu. Jakby to za mną łąziło. Co to jest?

Skrzatołap poczekał, aż przetoczy się nad nimi kolejny stukot kroków strażnika.

- Skrzacia miętka.

- Co?

- Zioło, bardzo rzadkie w tych stronach. Doświadczone wiedźmy zbierają je po zapomnianych jarach, suszą i trą na proszek. To najlepszy wabik na skrzaty.

- Rzadkie zioło?...

- Leżą do tego jak muchy do miodu. Przyprawiają sobie tym jedzenie, gotują wywary, a czasami rzucają szczyptę na żar i wdychają dym.

- No to nie dziw, że gród tym prześmierdnął!

- Jest. Bo nigdy nie spotkałem skrzaciej miętki w takiej ilości ani w takich miejscach jak tu.

Książę poruszył się niespokojnie.

- Czy to znaczy, że... - zawahał się.

- Tak. Ktoś je na ciebie szczuje.

Zrobiło się zimniej. Wiatr przygnał ciemne chmurzyska i gwiazdy zaczęły znikać jedna po drugiej. Mrok gęstniał, chociaż do świtu było niedaleko.

- Ciężko w to uwierzyć. - Książę chuchnął w złożone dłonie. - No bo kto? I po co?

- Ten, kto na tym korzysta, panie. Zawsze tak jest. Książę patrzył prosto przed siebie, w jego oczach odbijał się gasnący księżyc.

- Gdzie jest starosta? - zapytał nagle. - Miał cię pilnować.

- Pacholcy odnieśli go do izby. Zemdłał, kiedy rozmawiałem ze skrzatem. Nie lubi widoku krwi.

- Za mną! - Książę pochylił się, żeby biec, zamiast tego zniknął sprzed oczu skrzatołapa. Zdążył zakląć i z łomotem uderzył o ziemię. Choć oszołomiony pozbierał się szybko.

- Ta zgraja zraszców związała mi rzemyki u butów! -jęcząc, macał twarz. - Zawsze to robią, kiedy sterczę zbyt długo w jednym miejscu.

Skrzatołap przeciął węzeł i chciał pomóc mu wstać, ale książę odtrącił jego rękę. Ruszył wielkimi krokami, z głową odrzuconą do tyłu i dłonią przyłożoną do krwawiącego nosa.

Drzwi do izby starosty były zamknięte. Książę szarpnął mocno, ale nie ustąpiły. Hałas obudził kilku pachotków, którzy przybiegli, trąc rozespiane oczy. Powstrzymał ich.

- Do tyłu! - warknął. - Sam to zrobię.

Cofnął się, wziął kilka kroków rozbiegu i natarł na drzwi kopniakiem. Trzasnęły od razu, wpadając do środka razem z futryną.

Starosta siedział w łożu, z kocem podciągniętym pod brodę. Nie mógł widzieć, kto stoi w drzwiach, bo pacholcy oślepiali go pochodniami.

- Co to ma być? - Obejrzał się za pasem z mieczem, który wisiał poza zasięgiem ręki. - Won!

Książę podszedł, zatrzymując się w kręgu światła. Krew już nie ciekła, ale na brodzie i na wąsach wisiały rude skrzepy.

- Wyskakuj z wyrka - powiedział cicho. - Musimy porozmawiać.

Starosta szybko naciągnął gacie i sięgnął po koszulę, książę wyrwał mu ją i wskazał na skrzynię pod ścianą.

- Wywalaj wszystko, co tam masz.

Żeby podejść do skrzyni, starosta musiał przejść koło miecza. Zmylił krok i drgnęła mu ręka, ale nie zatrzymał się. Podniósł wieko i zaczął wyrzucać rzeczy na podłogę. Dawno nieprane szmaty, kości do gry, wyszczerbiony kielich. Skończył, odwrócił się do księcia i stopą popchnął to wszystko w jego stronę. Dolna szczęka mu drżała.

- Co moje, to twoje, panie - wychrypiał. - Wcale nie musiałeś psuć drzwi.
Skrzatołap wychylił się zza pleców księcia i głośno pociągnął nosem.
- Jest - wyszeptał. - Mały czerwony woreczek, pod dziurawymi onucami.
Książę podniósł go, rozsupłał i wytrząsnął zawartość pod nogi. Jasny proszek, drobniutki jak pył, napełnił izbę mocnym zapachem.
Starosta podniósł na księcia szeroko otwarte oczy.

PIOTR PATYKIEWICZ

Rocznik 1973, mieszka w Bielsku-Białej, ma trzy córki i czwarte dziecko w drodze. Studiował politologię, ale przerwa) studia na czwartym roku. Długo był przekonany, że w polskiej prozie nie powstało dzieło znaczniejsze od „Bolesława Chrobrego” Antoniego Gołubiewa; to pod jego wpływem napisał m.in. opowiadanie „Czorty” („Fenix” 3/1996). Prezentowany „Skrzatołap” jest dopiero drugim tekstem Piotra opublikowanym w prasie, za to jesienią w wydawnictwie superNOWA ukaże się jego „Zły brzeg” - klasyczna powieść fantasy, wcale nietraktująca o skrzatołapie, lecz o rybaku Żarku i pewnej atrakcyjnej księżniczce, (mp)

- To nie moje. Nie wiem, co to jest.
Książę pobladł z gniewu. Wyrwał pachołkowi pochodnię i wziął zamach, ale skrzatołap złapał go za rękę.
- Najpierw dokończmy jedno, panie. W łóżu coś jeszcze się chowa.
Koc unosił się leciutko i opadał, ktoś pod nim nierówno oddychał. Książę opuścił pochodnię. Pochylił się nad łóżem.
- Tu ich trzymasz? - Gniew ostygł w zdumieniu. - Sypiasz z nimi?
Chwycił za brzeg koca i szarpnął.
- Sławka? - stęknął.
Wysunęła się z łóża, nie patrząc nikomu w oczy. Podciągnęła spódnicę, ale nie odgarnęła włosów, które zasłoniły jej twarz. Wybiegła z izby, przeskakując nad potrzaskanymi drzwiami. Książę odwrócił się za nią niezdarnie, szurając nogami. Pozostawał pochylony, jakby coś przeskoczyło mu w karku i nie wróciło na miejsce.
- Postawić przed jej izbą straż! - rzucił. - A tego wieprza na łańcuch.

Brzask skradał się jak złodziej, cichy i cierpliwy, rozświetlając snujące się nad ziemią opary. Książę przyłożył wargi do szyjki gąsiora.
- Dobry dzień na wieszanie. - Spojrzał z ukosa na ciemniejącą we mgle postać starosty. - Najpierw jego, a potem się zobaczy. Może skończę na sobie.
Siedzieli na królewskim płaszczu rozścielonym na kamiennej płycie. Dwór wyglądał jak bezludne i pleśniejące wspomnienie po minionej chwale.
- Twoi wielmoże mają mocny sen, panie - rzekł skrzatołap, sięgając po gąsior. - Nocne wrzaski postawiły na nogi pół podgrodzia, a oni ani zipną.
- Pozapierali się w izbach i smrodzą ze strachu, bo nie wiedzą, ile powie starosta! Pewnie siedzą w tym spisku po uszy.
Gruby słup, do którego przykuto starostę, moknął w mżawce o kilkanaście kroków. Kiedy więzień się poruszał, brzęczał łańcuch u żelaznej obręczy na jego szyi.
- Czemu to robił? Żle mu było?
- Za głupi jest, żeby samodzielnie wymyślać takie rzeczy. Dał się omotać babie.

W okienku u szczytu czworobocznej wieży zabieliła jakaś twarz. Zniknęła, kiedy skrzatopał podniósł na nią oczy.

- Co z nią będzie?

Książę długo zaglądał w szyjkę gąsiora.

- Pójdzie między mniszki. Albo dam ją pierwszemu książątku, które się zgłosi, byle nie targowało się o posag. Niech jedzie w diabły, najlepiej za siedem mórz.

Przez zasłonę chmur zaczęły się przebijać ukośne promienie. Mgła zniknęła, rozganiana cieplejszymi podmuchami.

- No, zostawmy to. Co z twoją robotą? A może już po wszystkim, kiedy nie ma komu wykładać skrzaciej miętki?

- Skrzaty łatwo sprowadzić, ale trudno ich się pozbyć. Ale jestem już blisko, bo wiem, gdzie ukrywa się ich król.

- Taak... Doniesiono mi, że ciekawi cię mój skarbiec. - Wino nie pozostawiło w spojrzeniu księcia najmniejszego śladu.

- Zejdźmy tam i złapmy go.

Pachołcy wysypali się z sieni na pierwszy znak. Podważyli płytę żelaznymi dragami i napaarli ze wszystkich sił. Ustąpiła ze zgrzytem, który przepłoszył ptaki z dachu. Z czarnej czeluści powiało chłodem. Skrzatopał zepchnął nogą mały kamyczek i długo czekał na odgłos uderzenia.

- Chyba rzadko się tu zagłada. Nie dbasz o swoje bogactwa?

- Jest ktoś, kto dba za mnie. - Żrenice księcia zwężyły się.

- Módl się, żebyś go nie poznał.

Starosta szarpnął się jak wściekłe psisko na uwięzi. Obręcz wpijała mu się w gardło.

- Nie pozwól mu na to, panie! - krzyknął. - Nie wierz zaprzańcowi!

Skrzatołap nachylił się. Nie widział nic prócz pierwszych, wpuszczonych w ścianę kołków, które schodziły w głąb.

- Zejdę sam, panie. Tylko ja wiem, jak go złowić. Starosta miotał się jak szaleniec. Białka jego oczu nabiegły krwią, węzły żył puchły na rękach.

- Nie pozwól mu, panie! On cię zdradzi!

Książę odezwał się cicho, niemal szeptem:

- Wedle zwyczaju powinieneś zawisnąć o zachodzie słońca. Jeszcze raz wspomnij o zdradzie, a złamię ten zwyczaj.

Wrócił, trąc oblaźły kilkudniowym zarostem policzek. Przykucnął nad krawędzią.

- Pójdziemy razem, beze mnie nie przeżyjesz. - Splunął, przywołał pachołków i powiedział głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć: - Jeśli nie wrócę do południa, spuście z łańcucha starostę.

Książę zanurzył się w otworze jak w przerębli. Kiedy skrzatopał opuścił za nim nogi do otworu, wilgotny chłód wślizgnął mu się pod nogawki. Szukał stopami kołków, słysząc z góry przekleństwo starosty.

Padające z góry światło kładło na mokrych ścianach błyszczące smugi. Niżej był mrok. Kołki trzeszczały i kręciły się w otworach, jakby od lat nikt tu niczego nie naprawiał. Kiedy któregoś brakowało, skrzatopał musiał opuszczać się niżej na samych rękach. Zadarł głowę. Pochylone nad wejściem twarze były tak odległe, że nie umiał ich rozpoznać.

Dotknął ziemi tak niespodziewanie, że w pierwszym odruchu podkurczył nogi. Potem ostrożnie zbadał nierówne skalne podłoże.

- Witaj w grobie! - Głos księcia dochodził z kilku stron naraz. - Zdejmuj buty.

- Po co?

- Zdejmuj. - Książę wygrzebał zza załomu skały pochodnię i sprawnie skrzesał ogień. - I chodź za mną, tylko cicho.

Skrzatołap wzdrygnął się, ruszył za księciem, zagryzając z bólu wargi, kiedy nastąpił na ostre ziarno żwiru. Wysoki, wąski korytarz wiódł łagodnym spadkiem w dół. Z grubsza ociosane ściany pochylały się z obu stron, jakby lada chwila miały zwalić się na kark wędrowcom. Tylko pochodnia rozpraszała ciemność. Szli cicho, słysząc szmer własnych oddechów, który wracał zwielokrotniony, jakby w głębi jaskini sapało zapomniane smoczysko.

- Daleko jeszcze? - jęknął skrzatołap. - Poodbijałem sobie pięty.

Książę zatrzymał się. Trzymał pochodnię przy ziemi, jego twarz ukryta była w mroku.

- Jesteśmy na miejscu. Oto Ośmionoga.

Podniósł rękę. Wydobyte z ciemności górne części ścian zdawały się do siebie zbliżać.

Gniazdo Ośmionogiej wisiało nad ich głowami, podczepione pod sklepienie korytarza.

Wyglądało jak ogromny biały naciek na skale, okrągły i mocno wybrzuszony do dołu. W słabym świetle zdawało się, że jego powierzchnia jest całkiem gładka, ale kiedy książę przyświecił wyżej, widać było ciasne sploty lepkich nici.

- Wiedziałem, że będzie wielka, ale to mi się nie śniło! - Skrzatołap wpatrzył się w gniazdo, marszcząc czoło. - Musi mieć odwłok jak moja głowa!

- Możliwe, nigdy jej nie widziałem poza gniazdem - udawał obojętność książę, ale w jego głosie dzwięczała powściągana duma. - Nikt nie wie, skąd się wzięła. Może zawsze tu była? Należy do rodziny, odkąd powstał gród, i cały ten czas rosła.

- Czym ją karmicie?

- Czasem rzuci się kureę, czasem kulawe psisko. Niedawno dostała cielaka i też sobie poradziła, zostały tylko kopytka.

Pośrodku gniazda przez napiętą powierzchnię przezierny kształt. Nie ruszał się, ale w tańcu rozchwianych półcieni wydawał się drgać. Skrzatołap odstał dwa kroki.

- Nie wylezie?

- Nie bój się. Ona nie lubi światła, a poza tym jest ospała - uśmiechnął się książę. - I nie musisz mówić szeptem, jest całkiem głucha.

Skrzatołap pokręcił głową.

- Ona nie musi niczego pilnować. Wystarczy sama trwoga, jaką wzbudza.

- Mylisz się, to nie strach na wróble. Jest czuła na drgania skał, na przykład takie, jakie wzbudza obuty piechur. A wtedy zabija, nawet jak nie jest głodna.

Książę chciał ruszyć dalej, ale skrzatołap dotknął jego pleców.

- Teraz zaczyna się moje zadanie. Zgaś pochodnię, panie, i idź trzy kroki za mną.

Minął go cicho, ostrożnie stawiając stopy na splekanym podłożu. Macał drogę jak ślepiec, ale nie bał się, że zabłądzi. Na zgrzanym czole poczuł leciutki ruch powietrza o zapachu zgnilizny.

Uśmiechnął się i szedł już śmielej, pilnując, żeby leniwy przeciąg wiał mu w twarz. Kroki księcia szeleściły za nim nierówno, czujnie i podejrzliwie.

Dwie jasne kropki pojawiły się w mroku, zgasły i rozjarzyły znowu. Jak maleńkie gwiazdeczki, drżące na nocnym niebie. Skrzatołap wyjął nóż.

Nagle oddech księcia stał się urywany i świszczący. Władca potknął się, przystanął i zaklął.

- Coś jest nie tak. Tu nie powinno wiać.

Skrzatołap szedł dalej. Jasne kropki powiększyły się, nabierając zielonkawej barwy. Wisiały nisko nad ziemią.

- Nie podoba mi się to! Wracamy!

- Wszystko jest jak trzeba. - Skrzatołap zatrzymał się i uniósł rękę z nożem. - Możesz już rozpalić ogień.

- Zostawiłem pochodnię pod gniazdem!

- Nie mówię do ciebie, panie.

Zielone plamki przybladły, kiedy ogarnęło je światło drżącego w przeciągu płomyczka. Bańka jasności szybko urosła i znieruchomiła, otulona żółtawą mgiełką. W środku stał skrzat, trzymając płonąca szczapkę.

- Myślałem, że już się nie doczekam - powiedział.

Głos miał chrapliwy, przełamujący się w piskliwych tonach. Po białej brodzie snuły się płomienne odbłaski.

Zgrzyt książęcego miecza wysuwanego z pochwy odbił się od sklepienia jaskini. Drgnęła uniesiona ręka skrzatołapa, w której błysnął nóż.

- Wiesz, że umiem tym rzucać! - Szybko oblizał suche wargi. - Odłóż miecz.

Twarz księcia przybrała barwę zsiadłego mleka. Chciał coś powiedzieć, ale odrzucił miecz.

- Co to ma być? - zapytał, hamując gniew. Skrzatołap przełożył nóż do lewej ręki, wytarł spoconą dłoń i przymknął zdrowe oko.

- Nic wielkiego, panie. Masz pecha.

Byłoby lepiej dla nas obu, gdybyś pozwolił mi zejść samemu. Znałem wielu władców.

Większość to durnie, ale ciebie zdążyłem polubić.

Książę siedział pod ścianą ze skrepowanymi dłońmi, przygryzając wąsy. Strużki wody, ciekące po ścianie, leciały mu za koszulę, ale tego nie czuł. Patrzył na rząd ciężkich skrzyń, ich okute rogi wychylały z ciemności po drugiej stronie jaskini.

- Aż wierzyć się nie chce, że dałem wiarę tobie, a nie własnemu staroście! On jeden przejrzał cię. Nie jesteś żadnym skrzatołapem.

- Jestem, panie. I to dobrym. Tyle że dawno temu zrozumiałem, że z samego skrzatołapstwa trudno wyżyć. Pewnej nocy, kiedy uganiałem się po śmierdzącej oborze za upartym skrzatem, olśniło mnie. - Pokazał kciukiem za siebie, gdzie skrzat podsyczał ogień maleńkimi drzazgami. - Dogadałem się z nimi.

- To znaczy, że...

- Że to ja ich na ciebie nasłałem. Wszystkich, co do jednego. A skrzacią miętę podrzuciłem staroście, żeby mieć trochę swobody.

- Jezu! Ale... czemu?

- Skrzaty miały cię zmiękczyć. Miały cię tak wymęczyć, żeby twoja wdzięczność, kiedy znikną, była głęboka i szczerą.

- To zмова! Chciałeś wyłudzić zapłatę za nic.

- Nie za nic, tylko za uwolnienie od kłopotów. Wcale byś od tego nie zbiedniał.

- A one co z tego mają?

Skrzatołap nachylił się do księcia, osłaniając usta.

- Powiem ci w tajemnicy, że skrzaty są raczej głupawe. Mają mózdzki mniejsze niż wiewiórki. Dają im po jednej nowej czapeczce na miesiąc i to sobie chwalą. Ale najbardziej ich cieszy, kiedy mogą poszaleć do woli. Uwielbiają dręczyć ludzi.

Książę podciągnął nogi i wstał, szorując plecami po skale.

- To wszystko była przykrywka, co? Odwracanie uwagi. Przez cały czas myślałeś tylko, jak wejść do skarbcza. - Skinął głową w stronę skrzyń. - Jak się dostać do tego.

- Nie, wejść było łatwo. - Skrzatołap machnął ręką. - Ważniejsze, jak wyjść.

Lekki powiew poruszył obwisłymi końcówkami wąsów księcia. Władca wodził oczami po przeciwległej ścianie. Znalazł wreszcie to, czego szukał. Okrągły otwór wielkości pięści czernił się w ścianie, pół łokcia nad ziemią.

- Powiniennem się domyślić, kiedy tylko poczułem wiatr! Skrzaty to wydrążyły?
- Jedną z ich zalet jest to, że umieją rozmawiać ze zwierzętami. Zajechały na śmierć kilkanaście kretów, ale zdążyły się przebić.
- Nawet jeśli ta nora wychodzi poza wały, to nie wciśniesz się do niej!
- Wychodzi w środku lasu. - Skrzatołap uśmiechnął się. - Wróce, jak wszedłem. Tędy pójda tylko skrzaty.
Zagwizdał. W otworze coś zaszemrało, osypało się trochę ziemi, a potem pokazała się czerwona czapeczka. Skrzat zeskoczył na ziemię, otrzepał kusy kubraczek i pobiegł w stronę ognia. Za nim przepychały się następne.
- Sprytnie - powiedział książę, odprowadzając je wzrokiem. - Ale przez taką dziurkę nie wyniosą zbyt wiele.
- Mylisz się. Wyniosą wszystko, do ostatniego mieszka. Książę znieruchomiał z wyciągniętą szyją i zrenicami jak grochy. Na jego skroniach zabłyszczał pot.
- Nie ośmielisz się.
Skrzatołap bez słowa podszedł do skrzyń. Ich wieka skrzypiały pod stopami skrzatów.
- A co powiesz na górze? - krzyknął książę, ale dokończył cicho: - Co ze mną?
Skrzatołap obejrzał się, omijając jego oczy.
- Powiem prawdę. Że zabiła cię Ośmionoga.

Mieszki leżały w skrzyniach równiutkimi warstwami, od dna po wieko, każdy związany sznurkiem z książeczą pieczęcią. Wydawało się, że opróżnianie skarbca musi potrwać, ale bogactwo topniało w oczach. Skrzaty zarzucały mieszki na plecy i przygięte znikwały w otworze. Książę z początku patrzył na tę grabież pustym wzrokiem, ale szybko spuścił głowę i oparł czoło na kolanach. Wyglądał, jakby usnął.

Drgnął, kiedy skrzatołap zatrzasnął wieko ostatniej pustej skrzyni. Kurz podniósł się szarym kłębem, a potem osiadał powoli, wirując wokół ognia.

- No. To by było na tyle.

Pochodnia w jego rękę zaczynała kopcić. Książę zrozumiał, co się stanie, i z jego twarzy odpłynęła krew. Patrzył na odchylającą się do tyłu rękę skrzatołapa z trwożnym skupieniem. Pochodnia z sykiem wyskoczyła w górę, wlokąc za sobą warkocz dymu i iskier. Trafiła w środek gniazda i upadła u stóp księcia.

Zdawało się, że gniazdo się nie zajmie. Rój ogników, skwierczących między niemi, szybko wygasł. Ale kiedy pokazała się mała wstążka dymu, skrzatołap zaczął się cofać ku wyjściu. Płomień wybuchł od razu z całą siłą. Rozprzestrzenił się promieniście od środka do brzegów, a jego żółte jęzory okopciły sklepienie jaskini.

Ośmionoga wystrzeliła z gniazda i zatrzymała się na ścianie, pod którą siedział książę.

Wyglądała jak mroczny cień na kamieniu. Zaparła się szeroko trzema parami odnóży, a czwartą, przednią, uniosła w gotowości do walki. Na ogromnym odwłoku płonęła sztywna szczecina. Każdy włos z osobna skręcał się, spopieliał i opadał łagodnym, kołyszącym lotem na lśniące od potu czoło księcia.

- O Jezusie...

Kroki skrzatołapa milkły w mroku.

Znał drogę na pamięć. Kiedy wszedł między pierwsze, rosnące na skraju dęby i buki, odwrócił się. Wały grodu wyglądały teraz jak kreci kopiec. Nikt stamtąd go nie widzi, ale i tak pomachał

na pożegnanie. Sprawilo mu to przyjemność. Ruszył bez pośpiechu. Oddychał pełną piersią, smakując zwycięstwo.

Ścieżka ledwo się zaznaczała wśród gęstego poszycia, ale nie mógłby zabłądzić, nawet w bezksiężycową noc. To, co czekało na końcu, dodawało mu skrzydeł.

Polanka otworzyła się nagle, jak zapomniana plamka światła w morzu cienia. Pośrodku stało stare dębisko. Suche, wypróchniałe od środka, z wyrwą na pół pnia, uparcie trzymało się ziemi. Puściło nawet kilka bladych listków.

Skrzatołap podszedł powoli, ostrożnie przekraczając guzowate korzenie. Serce mu waliło, w gardle czuł przyjemne drapanie.

Skrzat rozgarnął z szelestem wysokie trawy i wdrapał się na rozwidlenie korzenia. Wydawał się zagniewany. Odsunął czapczkę na tył głowy, przecesał palcami brodę i spojrzał na słońce.

- Zróbmy to szybko - mruknął. - Za dużo tutaj światła.

Skrzatołap sięgnął do kieszeni, wyciągnął rękę i skinął zachęcająco. Na otwartej dłoni leżało kilkanaście czerwonych czapczek.

- Zawsze dotrzymuję słowa - uśmiechnął się. - Wybierasz pierwszy.

Skrzat uniósł do góry sterzące wiechcie siwych brwi. Oczy miał skupione i nieobecne, jakby powleczone warstewką lodu. Odkąd się znali, nigdy nie spojrzeli sobie prosto w oczy. To powinno wzbudzić podejrzenia skrzatołapa.

- No, bierz! - ponaglił. - Zrobiłeś swoje, należy się zapłata.

- Nie chcę twojej czapczki.

To było niedorzeczne, skrzatołap nawet nie zdążył się przestraszyć. Stał z wyciągniętą ręką, a w głowie huczała mu pustka.

- Jak to?

- Dostałem lepszą. Z kitką. - Obrócił się bokiem. Z czubka czapczki zwisało kilka kolorowych nitok.

- E... ale... - Skrzatołap poczuł, jak sztywnieje mu język. - Nigdy nie mówiłeś, że chciałbyś... z kitką!

- Nigdy nie pytałeś.

Zacisnął powieki. Nie mógł dłużej patrzeć w maleńkie źrenice, ani ludzkie, ani zwierzęce.

- Kto ci to dał?

;- Ja. Mógłbyś się sam tego domyślić - powiedziała kobieta.

Podniósł głowę. Przez rozmazaną zasłonę też widział twarz Sławki, wynurzającą się z dziupli.

Oparła brodę na rękach i pokręciła głową.

- Oj, oj, tylko bez płaczu. Za późno. Mówiłam ci, żebyś nie był za sprytny.

Słyszał kroki ludzi wychodzących z lasu, ale nie zrobił nic. Miał ciężkie nogi i ospałe myśli. Ktoś wykręcił mu ręce na plecach i bardzo mocno związał. Ból go trochę otrzeźwił. Był pewien, że słyszy za sobą sapanie starosty.

- Jak to wymyśliłaś? - zapytał cicho.

Przestąpiła z nogi na nogę, pod jej stopami we wnętrzu dębu zachrzęściło złoto.

- W sprawie czapczek sam się wygadałeś. A kitki? Cóż... W końcu jestem kobietą.

Skrzat wsadził palce do ust, gwizdnął i zeskoczył na ziemię. Trawa poruszyła się w wielu miejscach i pstrokate pęki nitok, furkocząc na wietrze, odpłynęły w stronę lasu.

- Tyle lat... - Skrzatołap z trudem przełknął ślinę. - Zawsze razem, a na końcu zdradził mnie dla głupiej kitki.

- To ich godność, sam mówiłeś.

Księżniczka wygramoliła się z dziupli. We włosach pełno miała patyczków, suchych liści i pajęczyn. Kiwnęła palcem i zza pleców skrzatołapa wysunął się starosta. Z ramienia zwisał mu

sznur zakończony pętlą. Mrugnął, niedbałym ruchem przerzucił go przez gałąź i wyszczerzył zęby.

- Nie będę ukrywał, że czekałem na tę chwilę.

Skrzatołap prawie nie czuł strachu, tylko wielkie, przytłaczające zniechęcenie. Bolała go głowa. Sławka podeszła bliżej i wspinając się na palce, zajrzała mu w twarz. Zbliżyła usta i chyba go pocałowała, ale nie był pewien, bo w ustach miał pustynię, a na wargach wyschniętą skorupę.

- Powiesić go! - Jej szept był jak krzyk.

Zachwiał się, ale nie upadł. Patrzył na to, co się dzieje, jakby to przydarzało się komu innemu.

Kilku pachołków chwyciło starostę pod ramiona, podnosząc go w górę. Nawet nie wierzgał, był zbyt zdumiony. Zaciągnęli mu pętlę na szyi i naprężyli sznur. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na Sławkę, ale kiedy skinęła powiekami, odskoczyli na boki.

Skrzatołap do końca nie odwrócił wzroku. Widział, że starosta kopiący nogami powietrze wciąż próbuje zrozumieć, co się stało.

Sławka usiadła na tronie i z ulgą odchyliła się na rzeźbione oparcie. Zamknęła oczy, jakby ogarniała ją senność.

- Zostawcie nas.

Woje spojrzeli po sobie niespokojnie. Odsunęli się trochę od skrzatołapa, ale nie odeszli.

Długoręki Plewek wystąpił pół kroku naprzód.

- Ale, pani, on jest...

- Powiedziała! - Zmarszczyła brwi, nie podnosząc powiek. - I rozwiążcie go.

Skrzatołap rozcierał obolałe nadgarstki i ukradkiem zerkał na drzwi. Kiedy w końcu podniósł oczy, drgnął. Sławka patrzyła prosto na niego.

- Dziwi cię coś, cwaniaku?

- Bardzo wiele rzeczy. - Podniósł w uśmiechu kącik ust, mierząc wzrokiem odległość od otwartego okna. - A najbardziej to, że dałem się przechytryć babie, przy całym szacunku dla ciebie, księżniczko.

- Księżno! - poprawiła. - Wprawdzie koronacja za kilka dni, ale lepiej się przyzwyczajaj.

- Tak, zapomniałem. To przez to, że nie wyglądasz na zdruzgotaną śmiercią ojca.

Pochyliła się, opierając dłonie na kulistych zwieńczeniach podłokietników.

- Gdyby ojciec zginął, wyprułabym twoje wnętrzności i nakarmiłabym nimi wieprze.

Potrząsnął głową jak po wyjściu z wody.

- Jakim cudem przeżył? Sam widziałem to włochate straszdyło tuż nad nim! Było takie wielkie, że mogłoby zabić krowę.

- W porę dowiedziałam się, że skrzaty umieją rozmawiać ze zwierzętami. To była część mojej umowy z nimi. Przekonały Ośmionogą, żeby zabrała się do odbudowy gniazda, zamiast zżerać jedyne go żywiciela. A w nocy, kiedy wszyscy posnęli, zesłam do jaskini. Ojciec był osmalony i gada) od rzeczy, poza tym był zdrów.

- Każesz mi wierzyć, że dobrowolnie zrzekł się władzy?

- No, nie całkiem. - Opuściła rzęsy i zaczęła oglądać paznokcie. - Musiałam go postraszyć, że spiszek starosty ma wielu zwolenników i mogą go usunąć siłą. Zresztą był za słaby na księcia.

- Więzisz go?

- A po co? Spędzi spokojnie starość na uboczu, w przytulnym grodku pełnym młodziutkich posługaczek.

- Dla starosty nie miałaś tylu względów.

- Przestał być potrzebny i za dużo wiedział - ucięła twardo. - Nie mogłam trzymać na dworze kogoś, kto chciał obalić księcia. Mógł raz, mógłby i drugi.

Skrzatołap przeszedł się po izbie, skrobiąc podbródek. Zbliżał się do okna.

- Myślę, że będziesz całkiem udaną księżną - mruknął.

- A będę! - Uśmiechnęła się. - I dlatego nie mogłam czekać czterdzieści lat, aż ojciec zgrzybieje. Tak lepiej dla wszystkich. - Przechyliła głowę szyderczo. - Wiem, o czym myślisz. Ale odradzam. To bardzo wysokie okno, połamiesz sobie nogi.

- Możliwe - opanował zmieszanie skrzatołap. - Chciałem tylko mieć wybór, kiedy wreszcie powiesz, jaki los obmyśliłaś dla mnie.

- Nic strasznego. Polubiłam cię - roześmiała się i przymrużyła oczy. - Żal pozbywać się kogoś, kto ma łeb jak ty. Znajdę ci zajęcie. Co powiesz na nadzorcę książęcego skarbcza?

Skrzatołap wyjrzał, a potem starannie zamknął okiennice. Ucichła wrzawa z dziedzińca, w izbie zrobiło się ciemniej.

- Nie, księżno. Zrobisz mnie nowym starostą. Uśmiech Sławki zgasł,

- Dlaczego?

- Bo jest coś, o czym nie wiesz.

Spróbowała wstać, ale tylko jęknęła z bólu i opadła na tron. Wsunęła dłonie pod głowę.

- Co się dzieje? Ktoś mi... - Szarpnęła się, zwiotczała i dokończyła prawie płacząco: - Ktoś mi przywiązał włosy do oparcia!

Skrzatołap nie odpowiedział. Stał z rękami w kieszeniach i czekał, aż zrozumie. Sławka pótleżała na tronie, jakby bała się poruszyć.

- Dlaczego wrócili? - szepnęła. - Dałam im, co chcieli!

- Okpiły cię. Cały czas wiedzieli, że nie wolno im odejść.

- Ale skrzaci król...

- To nie był król, tylko zwyczajny skrzat. Ktoś musi mówić w ich imieniu, kiedy prawdziwy król jest w niewoli.

- W niewoli? Gdzie?

- U mnie.

Chwyliła nóż, zacisnęła wargi i byle jak przecięła włosy.

- Odrosną! - fuknęła. - Ale ciebie każe rwać końmi!

- Nie radzę. Skrzaty zostaną, żeby cię dręczyć do końca życia, i nikt nie pomoże.

Skoczyła, piszcząc jak rozłoszczone dziecko, ale gniew przytępił jej czujność. Skrzatołap uchylił się przed ostrzem, zacisnął dłoń na nadgarstku, a drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął. Nóż upadł na deski.

- Zrobisz mnie swoim starostą - powtórzył. - A ja zastąpię tego grubasa we wszystkim, do czego był ci użyteczny. Słyszysz? We wszystkim. I bądź pewna, że będę o wiele lepszy.

Przygarnął ją jeszcze mocniej i pocałował. Walczyła, wijąc się i wykręcając głowę, ale nie przestawał, póki nie nadeszła chwila, na którą czekał. Najpierw obwiła w jego ramionach, a potem wspięła się na palce i oddała mu pocałunek.

Wtedy ją wypuścił.

Z całej siły uderzyła go pięścią w twarz. Spokojnie wsadził dłonie za pas, chociaż czuł, jak pod okiem rośnie mu krwiak. Sławka dyszała, rękawem ocierając usta. Patrzyła na niego zza rozwichrzonych włosów.

Potem schyliła się po nóż, kilka razy obróciła go w palcach i odrzuciła za siebie.

Tfu! Psia służba! - Plewek ponuro patrzył zza palisady w zamgloną dal. - Każdy żyje po ludzku, nawet ostatni parch, tylko ty, człeczko, siedz tutaj jak kura na grzędzie i gnij. Wysoki ziewnął, przeciągnął się.

- Co poradzisz? Za bardzo wryłeś się staroście w pamięć. Może gdybyś nie próbował go ustrzelić, dziś by cię nie gonił.
- Łee! - Plewek splunął. - Diabeł, nie starosta.
- Inni go chwalą. Wreszcie jest ład w drużynie. No i żarcie się poprawiło.
- Diabeł, mówię ci! - Obejrzał się na boki i zniżył głos do szeptu. - A skrzatów wcale nie przegnał. Ciągłe tu są. Zeszłej nocy na dziedzińcu, we śmie, prawie na niego wlałem. Nie usłyszał mnie, bo pomrukiwał pod nosem. Obszedłem go bokiem i spojrzałem na niego jeszcze raz. Właśnie pokazał się księżyc. Widziałem wszystko bardzo dobrze!
- Przerwał i machnął ręką, minęła mu ochota do opowiadania. Ale wysoki kolnął go łokciem.
- Gadaj! Co zobaczyłeś?
- Starosta był bez opaski. Skręcał kuleczki z chleba i karmił nimi skrzata.
- Zmyślasz.
- Widziałem! Skrzat siedział mu na ramieniu. Był pomarszczony jak suszona śliwka. Jedną łydkę miał przykutą do łańcuszka, który wychodził staroście z pustej dziury po oku.
- Schlałeś się.
- Przysięgam! Tak się przestraszyłem. Ale ten diabeł coś wyniuchał. Pstryknął palcami, a wtedy skrzat brzęknął łańcuszkiem i wlał mu do oczodołu. Starosta założył opaskę, przyklepał i poszedł.
- Wysoki oparł się na włóczni i pokręcił głową.
- Łziesz jak pies! Zresztą, wszystko jedno. Tfu! - Splunął za wał; - Psia służba.

Piotr Patykiewicz